

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

BOHDAN ZALESKI

Pramiętam, — przed dwudziestu laty przybyłam, jako uczennica, do klasztoru pp. Wizytek w Wersalu pod Paryżem. Wśród koleżanek moich była Bohdanka Okińczycówna, którą niezmiernie polubiłam. Dowiedziałam się też wkrótce, że jest wnuczką poety Bohdana Zaleskiego, którego kilka dumek umiałam na pamięć, że dla dziadka dano jej imię Bohdanki i że dziadek, mieszkający niedaleko w Villepreux, czasami odwiedza klasztor.

Wyprosiłam sobie u Matki-przełożonej, że za pierwszą bytnością poety przedstawi mnie jemu.

— Jakto—mówiłam—znam już jednego poeę — Odyńca, a nie mogłabym poznać jego przyjaciela, drugiego wielkiego poeę Zaleskiego; ja która tak lubię poeęze i tyle utworów umiem na pamięć!

Przyszła nareszcie ta szczęśliwa dla mnie chwila. Wezwano Bohdankę i mnie do parloir'u i przez kratę ujrzałam sędziwą postać poeęty, której nigdy nie zapomnę. Po mimo lat 80-ciu trzymał się krzepko, a długa, biała broda, spływająca do pasa, robiła go podobnym do dawnych lirników stepowych, których widywałam na rysunkach.

Bo też w istocie prawdziwym lirnikiem w literaturze naszej był Bohdan Zaleski, bo jak oni czerpał treść do swych pieśni z przeszłości

i podań swych stron rodzinnych, jak oni ubierał swoje wiersze w szatę dziwnie śpiewną i melodyjną, jak oni wreszcie odznaczał się zawsze serdeczną wiarą i ufnością w opiekę Boską i głęboką chrześcijańską pokorą.

Józef Bohdan Zaleski urodził się sto lat temu, 14-go lutego 1802 r. we wsi Bohatyrce gub. kijowskiej. Był to według starego stylu dzień Najświętszej Panny Gromnicznej, a narodzone dnia tego dziecię bardzo prędko utraciło matkę. Poeta w wierszu „W dzień Gromniczny” tak pisze o sobie:

„Święć się nam w sercach, domo-
[wa pamiętko!
Ów syn, o matko, ledwie prze-
[żegnany,
Twe pogrzebowe, gromniczne
[dzieciątko
Piastuje lutnię między chrześci-
[jany.”



Bohdan Zaleski.

Po wczesnej śmierci matki, Bohdan chował się u ciotek swoich — najprzód w Medwedówce, potem w Jerczykach. Czas jakiś zamieszkiwał w chacie starego pasiecznika wśród stepów, gdzie go oddawano, aby na świeżem powietrzu wzmocniły się wątłe siły pacholęcia. Wówczas to zapewne poetyczna dusza jego rozmiłowała się w uroczej przyrodzie, w pieśniach i podaniach wiejskiego ludu, które później tak pięknie opiewać umiał.

Uczył się zaczął u ciotki

w Jerczyku wraz z kilku rówieśnikami, także sierotami na opiece owej ciotki. Musiało im tam być wesoło i dobrze, jak to w listach późniejszych wspomina.

„Raz, — pisze do swego siostrzeńca — ubrdało mi się w głowie, że jestem stworzon do latania. Przez wiele dni potajemnie przyrządzałem sobie jakieś skrzydlika z deszczulek i gęsich piór, aż jednego razu, rozmachawszy się należycie, puściłem się z dachu do lotu i padłem na piasek niemal pod nogi ciotki, na osobliwe szczęście bez najmniejszego uszkodzenia.”

Później raz przyszło mu do głowy wybrać się do cesarza Napoleona, ale go we wsi sąsiedniej schwymano i do ciotki odprowadzono.

W trzynastym roku życia oddano go do szkół w Humanu, a w ośmnastym do uniwersytetu warszawskiego. W Warszawie łączyły go stosunki przyjacielskie z Lelewalem, Szopenem, Odyńcem i wielu innymi wybitnymi ludźmi. W czasach późniejszych zajmował się nauczycielstwem, opuścił kraj i mieszkał zagranicą, przeważnie we Francji. W Paryżu zawiązał serdeczne stosunki z Mickiewiczem, który go cenił bardzo wysoko, w prelekcjach swoich niezmiernie go podnosi, jako poetę.

Umarł w Villepreux pod Paryżem 31 marca 1886 r. Historia literatury zalicza Bohdana Zaleskiego do poetów tak zwanej „Szkoły ukraińskiej,” do której należą: Malczewski, Goszczyński, Olizarowski i inni. Najcenniejszymi klejnotami jego poezji są pieśni, ballady, tęskne dumki i dumy o różnych postaciach z dziejów kozaczyzny; on też jest istotnym twórcą dumy historycznej. Ale choć był mistrzem w mniejszych utworach, płynących z głębokiej miłości i tęsknoty do stron rodzinnych, w większych poematach („Duch od stepu,” „Przenajświętsza Rodzina,” „Złota Duma” i „Potrzeba Zbaraska”) z powodu braku rozległych pomysłów i talentu plastycznego, nie może się równać z arcydziełami współczesnych sobie wielkich poetów, pomimo wielu pięknych i czarujących ustępów.

Sława i stanowisko Zaleskiego w poezji naszej, jak twierdzą współcześni historycy literatury, opiera się przeważnie na jego pieśniach i dumach, wzbogacił poezję nowym pierwiastkiem ludowym, umiał prześlicznie wyśpiewać tęsknotę, a wierszowi nadał taką giętkość, melodyjność i rytmiczność, że pod tym względem równego sobie niema. Był to w całym znaczeniu tego wyrazu słowik stepowy, który najpiękniej opiewał tę malowniczą ziemię, na której ujrzał światło dzienne, stare kurhany, szumy i odgłosy stepów, a mowa nasza w tych dumach pociąga taką śpiewnością, że brzmi niemal, jak prawdziwa muzyka. Oprócz tych zalet artystycznych, wszystkie jego utwory cechowała głęboka wiara i pobożność, to też śmiało mógł powiedzieć o sobie:

„Duch nie zgaśnie przez skonanie...
A dla ziemi — u mogiły,
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu się wznosiły.

K. B.



Z poezji Bohdana Zaleskiego.

Do Anioła Stróża.

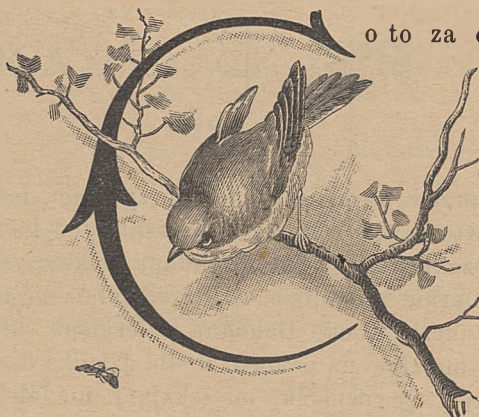
Odziany w blask,
Przesłańcze łask,
Aniele-Stróżu mój —

Oświecaj, chroń
I w dłoni dłoń
Tocz obok ze złem bój
Bym w biegu lat
Zmógł ciało, świat,
Wybielał z moich zmaz.
Aż czysty duch,
Jak z druhem druh,
Do Ojca wzlecim wraz.

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE

(Dalszy ciąg). (H)



o to za człowiek, któremu się pan ukłonił? — zapytał pan Zabrzęski.

— Ah! to ten biedny Krawczyk, co to umarł w sam dzień Matki Boskiej Zielnej.

Tym razem nawet pani Zabrzęska poczęła się śmiać z całego serca. Dzie-

ci i pan Zabrzęski utworzyli jeden chór spazmatycznego śmiechu. W końcu profesor, zrozumiał zabawną stronę swego roztargnienia i śmiał się także z innymi.

— Szczęśliwi ci uczeni! — zawołał pan Zabrzęski. — Dla nich umarli są żywymi...

Spostrzegł się jednak w tej chwili, że sam także był roztargniony, bo przy żonie wspomniął o śmierci.

Rzeczywiście twarz pani Zabrzęskiej w tej chwili przyobłęka się wyrazem niewymownego smutku.

— Ah, umarli dla nikogo żywymi stać się nie mogą! — szepnęła.

Wszyscy umilkli, wesoły śmiech zamarł na ustach dzieci i starszych, rozbawiona przed chwilą gromadka postępowwała po zżętem polu cicho, ze spuszczonej ku ziemi głowami. Zdawało się, że anioł śmierci przeleciał ponad nią.

Prócz Alusi i Jańcia, którzy byli zbyt małymi dziećmi, a także profesora, który w swej głowie tłómaczył dalej Odysseę, wszyscy myśleli o sposobach uratowania matki od tego nieuleczalnego smutku, który jej prawie nigdy nie opuszczał. Zdziś aż kipiał z wewnętrznego wzburzenia i gniewu, że nie można było tego smutku macierzyńskiego wyzwać na rękę, jak zdradliwego rycerza. Myślał, że kiedyś, gdy się on, Zdziś, okryje sławą, w matce obudzi się taka duma z tych czynów syna, że zabije ona smutek. Józio pragnął conajprędzej dorosnąć, zostać księdzem i przemawiając do matki w imię religii, odprawiając na jej intencję nabożeństwa, wyrwać ją z wśród wspomnień dawnych, a zwrócić jej oczy ku wieczności, ku tym niebieskim krajinom, gdzie wiara, nadzieja i miłość, leczą ze wszystkich smutków doczesnych. Zosia marzyła o jakimś poświęceniu siebie, z któregoby wyrosła pociecha dla matki, ale nie wymyśleć nie mogła. Pan Zabrzęski postanowił wysłać z wiosną żonę na kurację, gdyż przypuszczał, że jej niemożność

pocieszenia się po stracie, którą jej przecie Pan Bóg powrócił, była chorobą nerwową — melancholią.

Doszli do pola, na którym kopano kartofle kopaczką. Maszyna, ciągniona przez cztery konie, zębatymi skrzydłami podnosiła w około siebie w tumanie duży pokład ziemi, a gdy tuman opadł, widniały na wierzchu kartofle, po które trzeba było tylko się schylić i zebrać je do koszów, opatek, skrzynek drewnianych, w które zaopatrzeni byli robotnicy.

Dzieci natychmiast zabrały się do roboty. Poczęły pomagać w zbieraniu kartofli co bawiło je ogromnie.

— Żeby tak ognisko i żeby tak sobie tych kartofelków napiec — rzekł Józio.

— O, takie kartofle, wyciągnięte z żaru ogniska, daleko lepsze, niż wszelkie inne! — zapewniał Zdzis. — Szczęśliwi ci cyganie!

— Chciałbyś może być cyganem?

— Nie, bo nie chciałbym żyć z kradzieży. Ale żeby nie złodziejstwo, tobym chciał być cyganem, naturalnie gdyby tatuńcio i mateczka byli cyganami i gdybyście wszyscy byli cyganami.

— Już ja ci dziękuję! — odparła Alusia.

— Przepowiadałaś przyszłość z rozłożonych kart, albo z linii na ręku.

— A czy panienka wie — ozwał się gumienny, — że w naszym lesie podobno cyganie koczują.

— Cyganie, doprawdy, prawdziwi cyganie?

— Tak mi tam mówił leśniczy. Trza będzie wezwać strażników, niech ich wypędzą. Coś mi się zdaje, że to oni nam pomagają w kopaniu kartofli; rządki pod lasem zryte, jak gdyby tam trzoda chodziła.

— A żebyśmy tak do cyganów poszli zobaczyć, co oni w lesie robią?

Myśl Zdzisia podobała się nadzwyczajnie dzieciom. Alusia chciała koniecznie, żeby jej cyganka z ręki wróżyła; Zosia pragnęła się przyjrzeć cygańskim, oliwkowym twarzom; Zdzis marzył o walce z nimi, w celu odebrania im łupów; Józio, chciał zbadać, czy cyganie są chrześcijanami, bo gdyby nimi nie byli, to poco szukać misyonarskiej pracy aż w Chinach, kiedy we własnym kraju znaleźć ją można.

Jańcio zasłyszał coś od niańki o kradzionych przez cyganów dzieciach i w wielkim strachu pobiegł do matki, stojącej opodal i rozmawiającej z ojcem.

— Ja nie chcę iść do cyganów! Ja nie pójdę do cyganów!...

— Jańciu, Jańciu — rzekł ojciec. — Któż tu mówi o cyganach? Tu nie ma żadnych cyganów.

A zwróciwszy się do żony, rzekł po angielsku, by go Jańcio nie zrozumiał:

— Trzeba bardzo strzedz, żeby niemądre niańki nie straszyły dzieci i nie przewracały im w głowach.

Potem dodał, zwracając się do Jańcia.

— Dla czego ty się boisz cyganów?

— Bo cyganie kradną małe dzieci, morzą je głodem, każą im wodę z daleka nosić, drwa rąbać, dzieci cygańskie kołysać...

— To wszystko nieprawda, Jańciu, ale skądże ci to na myśl przyszło?

— Bo cyganie są w lesie i wszystkie dzieci chcą iść do cyganów.

W tej chwili nadbiegł Zdzis, wołając:

— Są cyganie, tatusiu, są! Leśniczy mówi, że są. A znowu gumienny mówi, że woda daleko, cyganie długo popasać nie będą. Tatusiu, chodźmy do cyganów!

— Dobrze, pójdziemy, dla tego, żeby Jańcia wyleczyć z jego nierozsądnej trwogi.

Pan Zabrzęski zbliżył się do gumienego

— Czy naprawdę słyszałeś o cyganach?

— Maciej mówił, że są. Rozłożyli sobie obóz na Starym Dębniaku. Ja mówię, że trzaby ich stąd wystraszyć.

— Więc pójdziemy, dzieci! Jest to trochę daleko... Zwrócił się do żony:

— Dla ciebie, moja duszko, to za daleki spacer. Wróć do domu z Zosią i kaź zaprządź. Przyjdziecie do Starego Dębniaku.

Zosia miała smutną minę, że ją na jazdę powozem skazywano. Profesor, który wtedy tylko pozbywał się swego roztargnienia, gdy trzeba było komuś oddać usługę, wśród najpiękniejszego ustępu z Odyssei, który sobie w duchu powtarzał, spostrzegł, że Zosia nie miała ochoty wracać do domu:

— Może ja będę mógł służyć swoim towarzystwem pani — ozwał się, zwracając się do pani Zabrzęskiej. — Zdaje mi się, że panna Zosia chętnie pójdzie pieszo.

Zosia rzuciła mu spojrzenie pełne wdzięczności.

— A ty, Jańciu? — spytał pan Zabrzęski, — może jesteś trochę zmęczony? Może wolisz przejechać się z mamą?

— O nie! Ja z tatuńciem. Tatuńcio ma dobry kij! Zdzis ma swój pałasik!

Pani Zabrzęska poszła tedy ku domowi z profesorem, ale że nie przjęła jego ramienia, bo w jednej ręce miała parasolkę, drugą podnosiła suknię, więc pocziwy profesor zapomniał wkrótce, że miał w pani Zabrzęskiej towarzyszkę. Zamyślił się, ręce złożył w tył, głowę spuścił ku ziemi, począł głośno deklamować po grecku i poszedł tak spiesznie ku domowi, że pani Zabrzęska nie była w stanie mu nadążyć. Wcale jej to jednak nie rozgniewało. Wiedziała, że zacy profesor nie przez lekceważenie dopuścił się niegrzeczności, lecz przez swoje nieuleczalne roztargnienie, które go tylko przy lekcy z chłopcami opuszczało. W kwadrans po profesorze doszedłszy do domu, posłała furmanowi rozkaz zaprzęgnięcia, a potem, gdy już konie stały pod gankiem, kazała prosić pana Chlewiatkę, który dopiero wtedy spostrzegł, że wrócił sam i począł przeproszać panią Zabrzęską.

— Nie gniewam się, niema o czem mówić! — odparła. — Pan należy do tych szczęśliwych ludzi, którym się wszystko przebacza. Ale muszę przyznać, że na niewiele mi się przydała opieka, z którą mi się pan tak uprzejmie ofiarował.

Wsiadli do powozu i poczęli rozmawiać o Zdzisiu i Józiu, o ich zdolnościach, wadach i przymiotach; o sposobach oddziaływania na nich, o trochę ślamazarnem i obraźliwym usposobieniu Józia, o popędliwości Zdzisia.

(d. c. n.)

B. Dyakowski.

W e ż e .

(Dalszy ciąg).

Za te jej nocne odwiedziny krajowcy nie lubią bardzo assali i polują na nią zajadłe z bronią palną, albo też wprost zabijają ją uderzeniem maczugi w głowę. Niektóre plemiona jadają chętnie jej mięso, wszędzie zaś prawie tłuszcz bywa uważany za cudowny środek leczniczy, a pstra skóra używa się na różne wyroby.

W Ameryce znajduje się około 50 gatunków, należących do podrodziny właściwych dusicieli. Wśród nich najbardziej są znane dwa, boa dusiciel i anakonda.

Boa zamieszkuje Brazylię, Gujanę i niektóre z południowych wysp Antylskich. Jest to duży wąż, dochodzący 6 metrów długości, a czasem i więcej; o pięknem wzrozystem ubarwieniu; na tle czerwono szarem, ciągnie się wzdłuż całego grzbietu szeroka, zygzakowata pręga ciemnej barwy; na niej zaś znajdują się owalne plamy barwy zielonkawo żółtej. Na głowie widać trzy podłużne ciemne pasy.

Wąż ten, wbrew zwyczajowi innych dusicieli, przebywa w suchych lasach i zaroślach. Za-kryjówkę służy mu rozmaite jamy w ziemi, doły pod kamieniami lub między korzeniami drzew, rozpadliny skał i t. p. zakątki. Wypocząwszy należycie w swej kryjówce, opuszcza ją wlokąc powoli swe olbrzymie cielsko, wyrusza na łowy, zostawiając za sobą ślad, jakby od ciągnionej kłody. Poluje zawsze z drzew, na które wspina się przy pomocy rogowych pazurków i zakrętnego ogona. Usadowiwszy się na stanowisku, czatuje spokojnie na zdobycz, którą stanowią różne kręgowce nie większe od sarny. Zoczywszy ofiarę, znajdującą się dość blisko, boa rzuca się na nią, jak strzała, przodem ciała, owija ją jego splotami, dusi i połyka. Nie urządza nigdy wypraw do siedzib ludzkich, jak afrykańska assala. Przed człowiekiem w ogóle ucieka, ale że jest z natury bardzo oziębiały, czyni to więc dopiero wtedy, gdy się doń podejrze bardzo blisko. Z tego powodu zabić go nadzwyczaj łatwo, czy strzelając doń z odległości takiej, że chybić nie sposób, czy też wprost uderzając go mocnym kijem w głowę. Krajowcy polują nań bardzo często, zużytkowując zabitego w taki sam sposób, jak Murzyni assalę.

Anakonda jest znacznie większa, niż boa dochodzi bowiem $8\frac{1}{4}$ metra długości. Ubarwienie ma również wzorzyste: na ciemno brązowym tle ciągną się dwa szeregi czarnych plam wzdłuż grzbietu i dwa pasy utworzone z żółtawych oczek po bokach; spód jest blado żółty w czarniawe plamy.

Anakonda zamieszkuje te same okolice Ameryki, co i poprzedni gatunek, ale podczas gdy boa przebywa wyłącznie w miejscach suchych, ona poszukuje wód, po których pływa wybornie. Ukrywszy się w wodzie tak, iż tylko jej głowa wystaje nad powierzchnię, anakonda czatuje całymi godzinami na zdobycz, którą stanowią ryby, płazy, ptactwo wodne oraz mniejsze ssaki, przychodzące gasić pragnienie. Będąc wygłodzoną, lub bardzo rozdrażnioną, rzuca się nawet niekiedy na człowieka, dla którego przy swym wroście i sile może stać się niebezpieczną. Są to jednak rzadkie wypadki i człowiek, zwłaszcza zbrojny w strzelbę, wzbudza

przedewszystkiem grozę w tym wężu tak samo, jak i w innych. To też, jeżeli krajowcy polują na anakondę, to bynajmniej nie dla tego, iż jest ona niebezpieczną dla nich samych, lecz dla pozbycia się szkodnika, duszącego im często świnie, które anakonda bardzo chętnie jada.

Takie wiadomości o węzach olbrzymich przyniosły nam opowiadania zupełnie wiarogodnych podróżników. Rozwiały one całkiem fantastyczne baśnie i przekonały, iż spotkanie z olbrzymimi węzami nie jest wcale straszne dla ludzi. Jeszcze bardziej utwierdzają w tem przekonaniu liczne wypadki łatwego oswojania się tych stworzeń, jak to można nieraz widzieć w strefie zwrotnikowej.

Złapać olbrzymiego węża bynajmniej nie jest trudno, ogłuszywszy go uprzednio niezbyt mocno uderzeniem, albo też zastawiwszy nań pułapkę ze sznura u wejścia do nory. Norę można zawsze poznać po tem, iż ziemia przed nią jest mocno ubita i wygładzona ciężarem wlokącego się olbrzymiego cielska. Należy tylko łapać okazy młode, gdyż takie znacznie łatwiej się oswojają.

W krótkim czasie schwytyany wąż przyzwyczaja się do miejsca i ludzi, nie ucieka i przechadza się swobodnie po mieszkaniu. Można tylko zapytać, jaki cel mają krajowcy w oswojaniu tych stworzeń. Czyż by dla samej przyjemności trzymania w domu takich potworów? Bynajmniej. Węże te okazują się bardzo pożytecznymi współtowarzyszami człowieka: groźne pytony w Chinach mieszczą na statkach i w domach, tępiąc w nich myszy i szczury zupełnie tak samo, jak u nas koty, są one nawet dogodniejsze od nich tem, że nigdy nie trzeba myśleć o pokarmie dla nich, są bowiem niewybredne i poprzestają zupełnie na tem, co same upolują. Podobną rolę w Brazylii odegrywa boa, którego kupcy, bardzo chętnie trzymają w spichrzach i składach towarów.

Oswojenie się krajowców z węzami dochodzi do tego, iż niektórzy z nich sypiają razem z temi stworzeniami bez żadnej obawy. Pewien taki oswojony boa, śpiąc razem z Indjaninem, zjadł jego wełnianą kołdrę, trudno, zaiste zrozumieć w jakim celu. Ale co ciekawsze, po paru tygodniach wyrzucił ją z powrotem, nie przechorawszy bynajmniej od tak oryginalnej potrawy.

Łatwość oswojenia i karmienia sprawia, iż w każdej prawie menażeryi europejskiej można znaleźć pytona, boę, a nawet ogromną anakondę. Przesyłanie lub przewożenie węzów nie przedstawia najmniejszych trudności: umieściwszy w dobrze zamkniętej skrzynce z otworami dla przechodzenia powietrza, można je wyprawić bez obawy w podróż, trwającą miesiąc i dłużej. O jedzenie wcale nie ma potrzeby się kłopotać, jeżeli bowiem wąż został dobrze nakarmiony przed drogą, to cały ten czas może się on głodzić bez żadnej szkody dla zdrowia. Chcąc jednak hodować je przez czas dłuższy w menażeryi, należy koniecznie zaopatrywać je w dostateczną ilość pokarmu, dać obszerne a ciepłe pomieszczenie, oraz letnią wodę dla kąpieli, które większość węży ogromnie lubi. W takich warunkach wnoszą one niewolę wyśmienicie i przez bardzo długi czas.

Niektóre z oswojonych węzów zyskały nawet sławę za swe przywiązanie i zmysłność. Szczególnie znanymi były węże niejakiich państwa Manu, o których wspomina znany badacz angielski Romanes w swej pracy „O inteligencji zwierząt.” P. Serera, przyjaciel pp. Manu, w sposób następujący opisuje swe pierwsze odwiedziny u nich:

(d. c. n.)



Wąż Boa.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

CZĘŚĆ DRUGA.

W Londynie.

Rozdział VII.

Przebudzenie. — Operacya. — Rodzina O'Clearów. — Kto ocalił? — Stryj i synowiec. — Podróż do Londynu. — Gorączka. — Matka. — Sygnet herbowy.

— Pić, dajcie mi pić!

Nikt nie odpowiedział na cichy szept chorego. Bo chorem, ciężko chorem musiał być młody chłopiec leżący na wygodnym, białym firankami osłoniętym łóżku. Miał głowę obandażowaną, a twarz okropnie bladą. Czarne spalone wargi świadczyły, że przebył długą gorączkę.

Poruszył się niespokojnie na poduszkach i jęknął. Do pokoju weszła szczupła o delikatnych rysach kobieta. Stała przy łóżku i pochyliła się nad chorem.

— Pić, dajcie mi pić, — powtórzył głośniejszym głosem.

— W jakim on mówi języku? — zrozumiała go jednak i radość rozjaśniła jej dobre, przyciemnione oczy. Podała choremu kubek z wodą, podsunęła delikatnie rękę pod głowę i patrzyła w rannego z serdecznym współczuciem, z nagle obudzoną sympatją. Biedna głowa, jakże go ona bolała. Kula utkwiała w czasce, musiano dokonać trudnej operacyi, a gdy ta udała się szczęśliwie, przeniesiono pacyenta na okręt. Przytomność odzyskał on dopiero w Londynie.

Tak, w Londynie. Stefan Luty, — gdyż on to leżał pod białymi firankami w jasnym i schludnym pokoju. Stefan Luty odzyskał przytomność w Londynie, a odzyskał dopiero przed kilku minutami.

Zostawiliśmy naszego bohatera w chwili, kiedy zasługiwał istotnie na to miano, bo narażał życie w obronie swoich przekonań. Czyn to godny szlachetnego człowieka.

Szajka łotrów zawiodła się w swoim oczekiwaniu. Mniemany don Jose de Fernambo Patamos, a właściwie Josek Salcman, żyd niemiecki, był w spółce ze Szwarzem i obaj stali na czele dobrze zorganizowanej bandy złodziejskiej. Mieli bardzo rozgałęzione i sięgające aż po za ocean stosunki, bo ułatwiali ucieczkę różnym podejrzanym osobistościom, pragnącym zmienić nazwisko i dostać się bez paszportu z Europy na drugą półkulę. Nie poprzestając na tym szlachetnym procederze, obdzierali ludzi, dokonyując śmiałych kradzieży. Stefan przybył do Bremy w chwili, kiedy dwaj godni siebie wspólnicy zamierzali właśnie spełnić czyn wyjątkowo zuchwały.

Salcman wiedział, że bawi w Bremie młody dziedzic wielkiego majątku, Jakób O'Clear, że przyjechał z Anglii dla odebrania spadku po stryju, który był właścicielem bogatej bremenskiej firmy bankierskiej. Jakób, inżynier zamieszkały w swoim zawodzie, nie mógł i nie chciał zajmować się handlem. Zamienił też na gotówkę całą sukcesję stryjowską i, spędziwszy kilka miesięcy w Bremie dla uregulowania spadku, zamierzał już opuścić Niemcy.

Przez czas swego pobytu nad Wezerą mieszkał w pię-

Do pow. „Stefek Luty w Brazylii.”



Pani O'Clear ze współczuciem spoglądała na chorego.

knym hotelu na Nowem mieście a tylko w czasie godzin pracy pozostawał w kantorze stryja, oddychając z trudnością dusznym powietrzem Starego Rynku. Dzień schodził młodzieńcowi na przegładaniu rachunków, wieczory spędzał słuchając muzyki w teatrze lub na koncertach. Noc zastawała zawsze Jakóba w eleganckim, z komfortem angielskim urządzonej, British Hotelu.

Salcman wiedział wszystkie te szczegóły przez swych agentów, bo jego dobrze zorganizowana banda zawiadamiała go o każdej następującej się okazji rabunku. Należał niestety do tej bandy i Leon Ziemiak. Zapomniał nauk księdza Proboszcza, zagłuszył sumienie, zgubił już własną duszę a teraz wiódł na pokuszenie towarzysza dziecinnych lat. Przed tygodniem schwycił bremeńska policya ślusarza, którego Szwarz używał dotąd do nieznanych swych wypraw dzieląc się naturalnie częścią zysków. Nie miał go kto zastąpić na razie, a to opóźnienie psuło plany spiskowców. Jakób O'Clear wyjeżdżał z Bremy, należało za jakąś cenę znaleźć rzemieślnika, któryby się podjął otworzenia szklanego zamku. Wiedział o tem Leon Czarny, bo tak go przezwali wspólnicy, wiedział i to, że czeladnikowi Kolarza mógł śmiało powierzyć najtrudniejszą robotę. Przyzw-

czaił się od dzieciństwa tyranizować Stefana, sądził więc, że jeśli nie prośbą, to groźbą wymoże na Lutym posłuszeństwo i powziął zamiar wciągnięcia kolegi do nocnego napadu.

— Skusi się na pieniądze, ulegnie — myślał Ziemiak i dał znać Salcmanowi, że czekać będzie u Szwarca, że znalazł ślusarza, kazał tylko zabrać wytrychy.

— Jest szczur, przegryzie zamek, Czarny dzielnie się spisał — mrucał Jasek, siedząc na stosie skradzionych ubrań i kazał odpowiedzieć Leonowi, że jama pełna, a Leon odgadł od razu co znaczący te słowa.

— Pieniądze młodego są już złożone w kasie kantoru na Starym Rynku — powiedział Ziemiak do Szwarca. Należało zabrać je jeszcze tej samej nocy, bo O'Clear mógł przewieźć nazajutrz gotówkę do hotelu lub złożyć ją na przechowaniu w banku.

— Jeżeli jednak Stefan nie zechce otworzyć kasy? troskał się Leon, ale Niemiec uspokoił jego obawy. W Bremie nie znał nikt młodego ślusarza. Jeśli chłopak dobrowolnie usłuży przy kradzieży, wynagrodzą go za robotę, jeśli jednak odmówi pomocy przez głupie skrupuły, albo co gorsza, zechce zdradzić współników, on Szwarz, potrafi wymusić na nim posłuszeństwo, a potem załatwi się z nim i uprzętnie niewygodnego świadka, jak uprzętnął już niejednego śmiałka. Nurty Wezery milczą, chociaż mogłyby wiele powiedzieć.

Zwierzenia Niemca przeraziły Leona, kraść tak, ale zabijać! Nie przypuszczał, aby jego współnicy mogli odważyć się na taką zbrodnię. A jeśli Stefan nie zechce być posłusznym. Miałżeby on, Ziemiak skazywać towarzysza lat dziecinnych na śmierć? Wzdrynął się, uspięne sumienie łotra przemówiło głośnie, ale zagłuszył je rezonowaniem.

— Stefek nie taki głupi, żeby odmawiać pieniędzy, sam przecież prosił o zarobek, obiecałem mu go nastreczyć. Czyż mogła zdarzyć się lepsza sposobność. Życie Stefka wisiało więc na włosku w ów pamiętny dzień, kiedy obudzony przez Leona poszedł z nim razem na miasto, nie zmówiwszy nawet pacierza. Jakże za to gorąco westchnął o pomoc do Boga w chwili, kiedy zagroziły mu rewolwery i noże zbójców.

Byli oni pewni, że w kantorze niema nikogo i to przekonanie uzuchwialiło przestępców. Chcieli tylko zmusić Stefana do milczenia, bo jego krzyk mógł nakoniec obudzić czujność stróżów. Ale krzyk ten spowodził szybszą i skuteczniejszą pomoc. W drzwiach kantoru stanął nagle młody i silny Jakób O'Clear.

Opuszczał nazajutrz Bremę, chciał więc jeszcze przed odjazdem uporządkować prywatne papiery stryja. Otworzył stare biurko i znalazł kilkanaście kopert opatrzonych datą roku korespondencji. Korespondencya dotyczyła przeważnie własnej jego osoby, bo składała się wyłącznie prawie z listów, które ojciec Jakóba pisywał do brata. Ojciec ten umarł przed kilku laty ofiarą spekulacji pieniężnych, klucz zaś do nich znajdował się właśnie w zwierzeniach, czynionych głowie rodziny. Był nią stary Bremeński bankier i Jakób teraz dopiero zaczynał pojmovać ciężkie położenie ojca. Czytał chciwie pozostałe papiery, wyróżniając kolejną kopertę, zdawało mu się, że przeżywa z ojcem jego troski i nadzieje. Niestety, nadzieje gasły powoli, a troski rosły z każdym dniem. Jakób był nieprzygotowany na doznane wrażenia, uczuł się też niemi tak pochłonięty, że nie wrócił już do hotelu; twarda kantorowa sofka posłużyła mu za posłanie. Zasnął na niej i nie słyszał, że kantor został otwarty, że gospodarują w nim złodzieje. Obudził go dopiero krzyk Stefana.

— Ratunku! — wołał Luty biegnąc w głąb lokalu, który składał się z kantoru i jednego tylko pokoju. Przebudzony ze snu chwycił za rewolwer i stanął we drzwiach kantoru. Odepchnął Salcmana, który mierzył nożem w pierś Stefana, ale nie zdołał zasłonić sieroty przed re-

wolwerm Szwarca. Świsnęła kula i Luty powalił się na ziemię.

— Dosięgnie cię nasza zemsta, jeśli się wylizac potrafiśz — zawołał Salcman, uciekając ze swemi współnikami.

Jakób przerażony widokiem rannego, nie pomyślał nawet o ściganiu łotrów. Podniósł Stefana i ułożył go na tej samej sofie, na której spał smacznie przed chwilą. Kula utkwiała w głowie i krew broczyła obficie, ale młody inżynier, który kilka lat życia spędził w lasach Ameryki, znał się na ranach i umiał sobie radzić w potrzebie, bo walczył już z dzikimi plemionami Indyan.

Na pustyn rynku starej Bremy nie było nikogo. O'Clear musiał sam zrobić pierwszy opatrunek. Z pomocą zapalki znalazł latarkę, którą upuścił Leon. Latarka złodziei uratowała życie ich ofierze, gdyż Jakób zdołał zatamować krew. Obwiązał ręcznikiem głowę rannego, czekał niecierpliwie poranku, a tymczasem badał bystrym wzrokiem bladą twarz chłopca. Chciał odgadnąć, kto była ta ofiara zbrodniczej ręki, która wyciągnęła do niego swoje o pomoc.

Łagodne, a nawet piękne rysy Stefana mówiły na korzyść sieroty. Nie mógł chyba tak szlachetnie wyglądać towarzysz i współnik złodziei. Skąd więc wziął się w jego kantorze? Jedno tylko było pewne, że ranny ocalał kantor od rabunku i że jest Polakiem. Matka O'Cleara rodziła się nad Wisłą, to też Irlandczyk zrozumiał wołanie ślusarza. Czuł dla niego tem większą sympatyę, a zdawał sobie doskonale sprawę z doniosłości długu, jaki zaciągnął względem nieznajomego.

(d. c. n.)

S W O J E.

Pogawędka.

Narody słowiańskie, z dawien dawna, miały wspólną sobie cechę: brak zamiłowania do handlu, spekulacji, nadmiernych zysków i gromadzenia grosza. Najmilszem ich zajęciem była praca na roli, która wystarczała zupełnie do wyżywienia ludności, a nawet często i wspomżenia sąsiadów; tę rolę ukochali oni gorąco i nie rozumieli innego życia, jak na niej lub blisko niej. My wspólnie z innymi Słowianami posiadliśmy tę cechę.

Niemcy, korzystając z zamiłowania Słowian do roli, postarali się ująć w swoje ręce handel słowiański, zakładając fabryki i pośredniczyć pomiędzy Słowianami w wymianie produktów. Tych Słowian, którzy nie mieli chęci siedzieć na roli i urzędach, bo zdarzali się wyjątkowo tacy, Niemcy poczęli obracać na swoich pracowników, dochodząc przy ich pomocy do dużych zysków. Niemcy w dziedzinach słowiańskich zakładali warsztaty i fabryki, a nawet zyskiwali dla siebie różne ulgi i wygodne prawa. Słowianie chętnie korzystali z usług Niemców, bądź to osiadłych po miastach, bądź przywożących towary z zagranicy, sami bowiem wówczas, jako mieszkający na kresach, musieli zasłaniać swejmi piersiami od wschodu, południa i północy środkową Europę i całą cywilizację, która w niej kwitła. Broniący Europę i cywilizacji od hord najeźdźczych ludów, nie mogli dostatecznie sami zażywać owoców cywilizacji, miasta bowiem Słowian podlegały łupieży, pożarom i rabunkom.

Dzieje najlepiej świadczą, ile Europa winna Słowianom wszystkim za zasłanianie jej przed naporem Tatarów i Turków, gdy chcieli podbijać narody chrześcijańskie i cywilizację, idącą z rzymskiego państwa.

Zmiana stosunków życiowych, wzrost ludności i poskromienie napaści barbarzyńskich plemion, spowodowały że Słowianie poczęli myśleć na równi z innymi ludami Europy o rozwoju miast i o prowadzeniu własnego przemysłu.

Wrodzony przemysł ludowy kwitł powoli, lecz ilością i jakością wyrobów nie mógł zadowolić licznej ludności. Powstały więc fabryki. Ponieważ założono je później, niż w innych krajach, dużo więc brakowało im do doskonałości. Przytem ludy słowiańskie nauczyły się brać wszystko od innych narodów Europy za przyzwyczajenia, więc nie popierały swego przemysłu.

Taki stan, jak i u innych Słowian, był i jest jeszcze do dziś dnia u nas. Większość towarów sprowadza się z Niemiec, chociaż one bynajmniej w wielu gałęziach nie są lepsze, ani nawet tańsze od naszych. Na rzemiosła, na fabryki zwykliśmy patrzeć nieufnym okiem, kiedy dzisiaj wskutek odmiennych warunków bytu wykształcony i uczciwy rzemieślnik i przemysłowiec, są jednymi z najglówniejszych pracowników na polu dobrobytu i szczęśliwości kraju. Za granicą nie jest wcale dziwnem, jeżeli człowiek z wyższem wykształceniem weźmie się do jakiego rzemiosła lub handlu, choćby na mniejszą skalę rozpoczętego. U nas nastaje już czas, że zaczynamy patrzeć tak samo i nie brak nam ludzi wykształconych w przemyśle i handlu, nawet drobnym. Niema jednak pola, na którymbyśmy nie widzieli przedmiotów z zagranicy sprowadzanych. Ogół nie porównawszy dostatecznie wyrobów krajowych, zwykł kupować chętniej zagraniczne. Słowo „zagraniczny” wywiera na nas dziwny a niesłuszny urok i trudno to sobie wytłumaczyć, dlaczego tak jest. Nie lekceważmy pracy obcej, wiedźmy o tem, że zagranicą wiele prac rąk ludzkich doszło do większej doskonałości, lecz od najmłodszych lat równocześnie starajmy się popierać wszystko co swoje, wszystkie płody naszej ziemi i wszystkie wyroby naszych współrodaków. Jeżeli będziemy kupowali od najmłodszych lat życia zupełnie dobre wyroby krajowe, choćby do najprostszego użytku służące, jako to: ołówki, stalówki, papier, kałamarze, rajzbrety, to damy dowód trzeźwego umysłu i umiłowania tego, co swoje.

Pamiętać winniśmy, że grosz, wydany na rzeczy swoje, zostanie w kraju, wspomże naszych współbraci, pomoże im zająć się pracą, która ich z niedoli wybawi, a może wkrótce od nich ten pieniąż do nas powróci. O ile złem jest skąpstwo, o tyle złem jest rozrzutność i marnotrawienie grosza. Ale stokroć gorzej, jeżeli ten grosz jest wydany na fatalaszki lub nawet rzeczy pożyteczne, z zagranicy pochodzące, kiedy u siebie możemy dostać równie dobre rzeczy. Cudzoziemcy śmieją się z naszej wady niepopierania tego co swoje, nazywają nas papugami. Popierajmy więc swoje wyroby, żądajmy ich wszędzie, a wtedy od najmłodszych lat przyczynimy się do podniesienia dobrobytu kraju i społeczeństwa, które się gorszymi pracownikami niż u Niemców nie posilkuje, jeno brak im poparcia swajaków, bo ci niewiadomo dlaczego popierają niesłusznie rzeczy obce, przeważnie niemiecką tandetę.

Wł. Karoli.

Ćwiczenie do nagrody.

Bez „r”.

Pewien zakonnik włoski z XVIII-go wieku, zamieszkały w stolicy ówczesnego księstwa Toskańskiego, cieszył się sławą znakomitego kaznodziei. Kazania jego odznaczały się nietylko głębokością myśli i podniosłością uczuć, lecz zachwycały słuchaczy pięknoscią języka i wymową, z jaką były wypowiedane. To też ów kaznodzieja uchodził za jednego z najlepszych mówców, swojego czasu, bywał słuchany pilnie, a kazania jego doczekały się kilku wydań. A jednak posiadał od dzieciństwa jedną wielką wadę w wymowie; nie mógł wcale wymówić zgłoski r. Być słynnym mówcą z taką wadą, wydaje się niepojętem; każdy bowiem

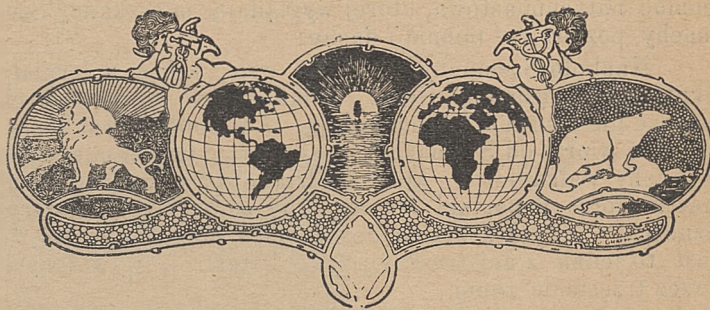
wie z doświadczenia, jak niemile a nawet śmiesznie brzmi mowa tych, którzy tej zgłoski nie wymawiają. Ale nasz kaznodzieja w ten sposób wadę tę omijał, że nie używał zupełnie słów z tą fatalną zgłoską, zastępując je innymi lub omawiając! Nikt ze słuchaczy nigdy tego nie spostrzegł, zaledwie jeden z czytelników tych kazań, już po zgonie zakonnika zauważył tę okoliczność.

* * *

Naśladować owego kaznodzieję i ja napisałem powyższy ustęp, nie używając ani razu słowa z literą r. Pragnąc jednak przekonać się, czy w naszym języku będzie równie łatwo obejść się bez tej litery, jak we włoskim, proponuję czytelnikom „Wieczorów,” a zwłaszcza starszym, którzy nie mają prawa wziąć udziału w ogłoszonym dzisiaj konkursie kaligraficznym, aby zechcieli przesłać w ten sposób napisane krótkie opowiadanie (od 100 do 150 wyrazów). Redakcja za dwa najlepsze ćwiczenia nadesłane przed 20 marca przyzna dwie nagrody: „Trzydzieści lat wśród dzikich” albo „Powrócili” do wyboru.

N. B. „rz” można używać, bo brzmi jak „ż”

Wieczór Rodzinny.



ZE ŚWIATA.

Porządkowanie Watykanu. Pałac Watykański w Rzymie, obecna rezydencja Papieża, jest jednym z największych gmachów na świecie. Mieszczą się w nim oprócz apartamentów mieszkalnych, kancelarye, archiwa, biblioteki, i muzea, zawierające nieocenione skarby sztuki i archeologii. Porządkowanie tego olbrzyma odbywa się raz na paręset lat. Ostatnie miało miejsce za papieża Sykstusa IV, to jest 400 lat temu. Od tej pory w Watykanie, obejmującym 11,000 pokoi, obrazy, posągi i inne arcydzieła sztuki, pokryły się kurzem na cal grubości, zakrywając właściwą im barwę i kształty.

Leon XIII, ubiegłej wiosny, wydał rozporządzenie oczyszczenia Watykanu, co jest niezmiernie uciążliwe i kosztowne. Do czynności tej zawezwano 2,000 kobiet, 1,500 mężczyzn i 700 dozorców. Porządki trwały 8 miesięcy. Wywieziono 60,000 kilogramów (120,000 f) kurzu i śmieci. Zużyto 2,000 kilogramów mydła, 1000 kilg. sody, 2,000 szcotek do szorowania 8,000 mietek, 80 sztuk flaneli, ofiarowanej przez Irlandczyków. Do czyszczenia obić spotrzebowano 8,000 bochenków chleba. Koszta tych porządków wyniosły 1,000,000 lirów około 350,000 r. Watykan wygląda obecnie odświeżony i odnowiony, choć nie obyło się bez uszkodzeń i strat.

Trzęsienie ziemi na Kaukazie. W gub. Bakińskiej na południowym skłonie gór kaukaskich leży powiat Szemachiński z głównem miastem Szemacha, liczącem około 40,000 mieszkańców, trudniących się przeważnie jedwabnictwem. W połowie lutego miasto to i jego okolice dotknęła straszna katastrofa, a mianowicie niezmiernie silne trzęsienie ziemi. Depesze przyniosły już następujące szczegóły do dnia, w którym to piszemy.

Całe miasto z trzema tysiącami domów, prócz dwudziestu do trzydziestu, zupełnie zburzone. Domy zamieniły się w bezkształtne stopy kamieni i piasku. Pod zwa-

liskami zginęło kilka tysięcy ludzi. Ścisłą liczbę, jak dotąd, trudno jest określić. Podczas prowadzonych rozkopywań odnaleziono około 800 trupów. Zginęło wiele osób w łaźniach.

W niektórych, po dwudniowym przebywaniu pod ziemią, znaleziono ludzi, dających znaki życia, z tych jedni wkrótce zmarli, innym udzielono ratunku; przyczem w jednej łaźni, gdzie znaleziono żywych, ojciec poznał córkę, lecz w tej chwili miejsce odkopane zawaliło się, zasypując oboje. Urządzono na placu stację opatrunkową. Zajętych jest bezustannie 5 lekarzy z fclzcerami. Położenie przerażające. Urządzony chwilowo barak drewniany, bez noszy, zbito naprędce. Większość ludności wzniosła na ulicach namioty, szałas i szopy. Wszyscy cierpią skutkiem chłodu i głodu.

Trzęsienie ziemi powtarza się, lecz słabo. Kto może, ucieka z Szemachy, zabrawszy dobytek ocalony. Na wszystkich drogach z Szemachy do Baku i stacji Kiurdamir ciągną się transporty i tabory z różnym dobytkiem. Wiele sklepów na targu spłonęło, towar miejscami jeszcze się pali i tli. Wielu straciło setki tysięcy. Spłonęła gotówka w znacznych sumach. Straty milionowe. Konieczna jest pomoc natychmiastowa, której wyglądają mieszkańcy Szemachy, pozbawieni mienia i dachu.

Naokoło Szemachy, liczą 33 wsie, które ucierpiały skutkiem trzęsienia ziemi. Wiadomości szczegółowych jeszcze nie zebrano. Opowiadają, iż w pobliżu wsi Marysy, o 35 wiorst od Szemachy, nastąpiły w trzech miejscach wybuchy wulkaniczne, które widziano na odległość dwunastu wiorst w postaci słupa jakby oświetlonego elektrycznością. Z tych krótkich, doraźnych szczegółów widać, że jest to jedna z najstraszniejszych katastrof, wywołanych przez trzęsienie ziemi.

Kogut w zaprzęgu. Na wystawie drobiu domowego, w roku zeszłym, w małym miasteczku francuskim Saint-Paul, jeden z okolicznych dzierżawców przedstawił szczególniejszego koguta.

Ptak ten odznaczał się nietylko niepospolitą wielkością i pięknnością upierzenia, ale przedewszystkiem taką siłą i łaskawością, że pozwalał się zaprzęgać do wózećka, w którym siedział czteroletni chłopczyk, poczem rozpoczynała się jazda z taką ostrożnością, że ani razu nie wydała się potrzeba ani przymusowej zachęty, ani też hamowania pochodu osobliwego tego rumaka.

SZARADA LITEROWA.

ulożył A. R.

Z sześciu liter całe nazwisko się składa:
Czwartą, piątą, szóstą — elegant posiada;
Nazwa ptaka będzie pierwsza, druga, trzecia;
A gdy dodasz piątą — narzędzie dla kmiecia.

Piąta z trzecią znana, jest to bowiem karta,
A zaś nazwą herbu: — trzecia, piąta, czwarta.
Trzecia, druga, pierwsza — płyn gosposiom znany,
Czwarta, druga z trzecią na stół podawany.
Pierwsza, druga, szóstą z czwartą w połączeniu
Dadzą nam materiał zdalny ku paleniu;
Druga, trzecia, piąta — owad, który kluje,
Podobny do pszczoły, lecz nie tak pracuje.
Wreszcie piąta z piątą, to jest rzeka mała,
Druga, szóstą, druga — część ludzkiego ciała.
Całe wam usłyszeć dość często się zdarza,
Jest bowiem nazwiskiem znanego malarza.

ZADANIE KONIKOWE.

uł. Jaskółka dla Czytelników.

zo	mi	dzba	naż	Po	ja	ka	wa
de	dzba	brzo	i	ziom	da	nią	da
da	wym	z po	na	mo	dzie	śpie	mi
nek	pójdź	czę	śpie	sie	drze	na	przed
ci	go	le	wa	dziew	wa	z bo	łas
czko	nie	na	dzba	mi	ja	się	da
z ja	chym	nie	gó	o	nia	i	rów
sie	de	nek	kła	sie	ka	na	ją

ROZWIĄZANIA DO N-ru 7.

Szarady: Ma — ka — o.

Łamigłówki sylabowej.

- 1) Dyomedes. 2) Wagram. 3) Odra. 4) Rebeka. 5) Zante.
- 6) Altaj. 7) Noteć. 8) Ilek. 9) Neron. 10) Krym. 11) Rycerz. 12) Odyniec. 13) Luneta. 14) Epaminondas. 15) Wajdeloci. 16) Indye.
- 17) Ceres. 18) Zanzibar. 19) Aleksander. 20) Jeroboam. 21) Arfa.
- 22) Kowno. 23) Ondina. 24) Brzoza. 25) Anglia.

Dworzanin królewicza Jakóba.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Bohdan Zaleski (z portretem). — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Węże, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Swoje, pogawędka. — Ćwiczenie do nagrody. — Ze świata. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Konkurs na kaligrafię (z ryc.) — Wisielka, wiersz przez Kazimierza Glińskiego. — Jak się nazywa? — Wróbelki Władzia, przez Annę Skibniewską. — Poselstwo z krainy cesarów, opowiedział B. Buyno — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 10 Февраля 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

Wydrukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Konkurs na Kaligrafię.

Pragnąc przekonać się, jakie postępy w pisaniu czyni młodsza rzesza czytelników i czytelniczek „Wieczorów Rodzinnych,” ogłaszamy dorocznym zwyczajem pierwszy z większych naszych konkursów z nagrodami **konkurs na kaligrafię**, w nadziei, że zachęci ich się do pilnego i starannego kształcenia się w tej umiejętności, bardzo ważnej i pożytecznej w życiu.

Do konkursu tego powołujemy dziewczynki i chłopców, **nie mających jeszcze skończonych lat jedenastu**.

Wszyscy, stawający do konkursu, powinni przysłać jedną i tę samą próbę swego pisma, a mianowicie wiersz, poniżej zamieszczony p. t. „Wisielka.” Dzieci, mające rok 9-ty, mogą prze-

pisać tylko 3 zwrotki tego wiersza, młodsze jedną lub dwie.

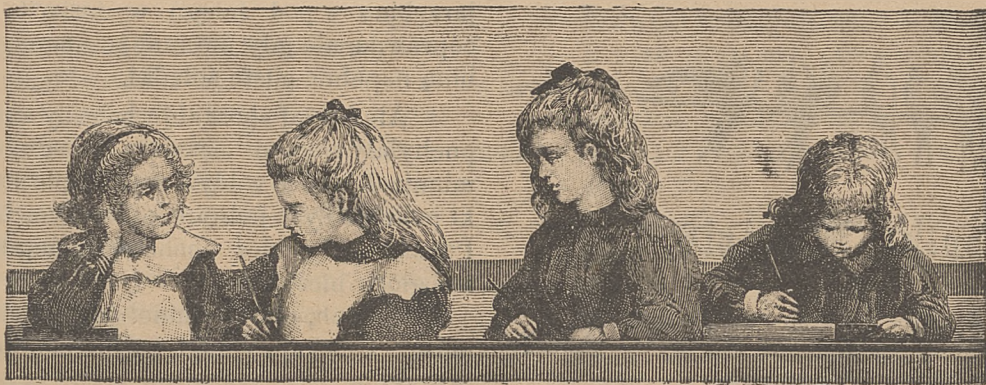
Próby pisma mają być jak najstaranniej i najczyściej przepisane w 2 liniach lub na jednej, na porządnym arkuszu lub arkusiku papieru, nie na świstkach lub kartkach.

Za najlepsze względnie do wieku próby pisma będą przyznane nagrody.

Przy próbie pisma należy podać imię, nazwisko, wiek (rok 11-ty, 10-ty i t. d.) i adres. Na kopercie napisać **kaligrafia** i żadnych listów ani poleceń nie dołączać. Kto nie życzy sobie być wymienionym w sprawozdaniu z nazwiska, niech doda pseudonym.

Termin nadsyłania prób — **15 kwietnia r. b.**

Adres: Warszawa, Mazowiecka 10. Redakcja „Wieczorów Rodzinnych” i dopisek — kaligrafia.



W I S I E Ł K A .

Toczy Wisła, toczy
Żółte fale swoje,
Czasem barwę zmienia,
Jak dziewczyna stroje;
Czasem barwę zmienia,
Złoci, srebrzy fale
I ubiera nurty
W perły i korale.

Gdy słońeczko wschodzi,
Na ziemi pogoda!
Różowemi blaski
Drży wiślana woda.
Gdy niebo błękitne —
Błękitem się śmieje;
Gdy niebo pochmurne —
I Wisła szarzeje.

Nad Wiselką naszą
Świecą jasne noce —
Na berlinkach płyną
Z Kaźmierza owoce.
Jabluszką rumiane,
Grusze, śliwki, wiśnie,
Smaczne dary Boże,
Zrywane umyślnie.

Płynie Wisła, płynie,
Aż do morza płynie,
Pełne zbóż galary
Na swym grzbiecie niesie,
Dzwoni pieśń flisaków,
Wtórzy echo w lesie.
Wisło, matko nasza,
A płynię do Gdańska!

Niech flisaków wiedzie,
Święta ręka Pańska!
Wisło, dobra rzeko,
Czarodziejko, wróżko,
O tej ziemi szepc mi,
Ja nastawię uszko.

Kazimierz Głiński.

Jak się nazywa?

— Jaka mamusia szczęśliwa — mówiła Janinka. — Mama może robić sobie, co chce; może długo leżeć w łóżku, może jeść same słodczyce, kupować wszystko, co się mamie podoba, może ubrać się, jak chce, i mamusi nikt niczego nie zabrania.

Mama zapytała Janinkę:

— Czy widziałaś, moje dziecko, żebym długo spała, albo kupowała rzeczy niepotrzebne?

— A, bo mama nie chce. Ale mamie nikt nie zabrania.

— Mylisz się, Jańciu; jest ktoś, który mi zabrania.

— A jak on się nazywa? — zapytała dziewczynka.

— Nazywa się: pan Rozum. Kiedy chcę długo spać, pan Rozum powiada: „Wstawaj zaraz, bo masz robotę.” Jeśli chcę kupić coś, mówi mi często: „To za drogie, nie kupuj, bo ci nie potrzebne.”

Janinka się zamyśliła.

— A ja mamusiu, nie mam rozumu?

— Masz, Janiu, ale twój rozum jest jeszcze mały i nie umie mówić tak wyraźnie, żebyś go rozumiała. To też masz rodziców, którzy ci swego rozumu pożyczają.

Janinka zrozumiała teraz, że i starsi mają kogoś takiego, kto im często radzi, zabrania albo nakazuje.

J. K.



Wróbelki Władzia.

Pi, pi, pi, — ćwierkał mały jeden wróbelek, skacząc po ścieżce pokrytej warstwą śniegu.

— Patrz, braciszku, jak biało w oko! Tyle śniegu przez tę noc napadało, że nawet czerwonych jagód jarzębiny na krzaku nie widać!

— Prawda — odpowiedział drugi, taki sam mały i szary, tylko z czubkiem na głowie, wyfruwając z drewnianej budki, zawieszanej pod dachem domu dla ptaszek. — Ostra zima tego roku; jak to dobrze, że nam się udało zająć te zakryte od wiatrów mieszkanie.

— No i przy ludziach, to zawsze bezpieczniej na wypadek, gdy w ogrodzie żywności zabraknie. Jużemy wczoraj przez dzień cały byli nawpół z postem — to już dziś nie próbujemy nawet znaleźć co w ogrodzie — tam śnieg wszystko przysypał.

— Brrr.. jak dzisiaj zimno! Lećmy zatem nie tracąc czasu, na podwórze, rozgrzejemy się ruchem, a może i śniadanie tam znajdziemy.

Był to mroźny dzień; wielkie sople lodu zwieszały się z dachów i gałęzi, błyszcząły w słońcu; śnieg skrzypiał pod stopami i olśniewał swą białością.

Wróbelki siadły na obmarzłej w lodową skorupę becze od wody.

— Patrzcie-no — rzekł starszy — coś się pani kłucznica spóźnia i nie sypie ziarna dla gołąbków!

— Ale gdzież tam! to myśmy się spóźnili. Patrz, te żarłoki gołębie siedzą na dachu, takie zadowolone, widocznie są po śniadaniu, a nam nie zostawiły ani ziarneczka, tylko śnieg wydeptany dowodzi, że tu już gospodarowały.

— A szkaradne darmozjady! Otóż to, co to jest zaspać. A mówiłem ci, siostrzyczko, śpiesz się, nie marudź! Cóż my teraz zrobimy?

— Wiesz co? Zajrzyjmy do stajni, tam w żłobie u koników zwykle jest owies.

W stajni było zimno, pomimo okien zatkaných słomą. Koniki stały smutne z popuszczanymi głowami. Ptaszki zajrzały do żłobów.

— O zgrozo! puściuteńkie, ale to jak wymiecione, nigdzie ani ziarneczka!

— A to nieszczęście! — zaczęły smutno ptaszki, — nie wiedzie nam się dzisiaj.. Spróbujmy jeszcze u poczciwego Burka, z jego miski jużemy się nieraz pożywiły.

U Burka jednak tym razem miska była pusta, Burak po obfitej uczcie spał sobie teraz smacznie, wkopawszy się w słomę, którą była napełniona jego buda.

— Już dziś widocznie i bez obiadu będziemy musiały się obejść; nie ma rady, wróćmy do ogrodu, — pomyślały ptaszki — może tam uda nam się choć parę jagód jarzębiny z pod śniegu wydostać? Cierpkie i kwaśne coprawda, ale gdy nic innego niema, niechby choć jarzębiną napełnić puste żołądki.

Ale i tutaj spotkał je bolesny zawód. Gałęzie drzew pochylały się pod ciężarem śniegu, topniejącego w promieniach słońca w błyszczące sople lodu, trawniki i ścieżki pokryte były jednym puszystym białym futerkiem. — Ptaszki się gdzieś pochowały, nigdzie żywego ducha, ani głosu niczyjego.

— Ach, jak tu zimno! jeszcze zimniej niż wśród domów. Uciekajmy stąd, bo już niedługo sił do lotu nam zabraknie.

Rzeczywiście, biedne ptaszęta, naczco od rana, wygłodzone, zziębnięte, ledwie już poruszały skrzydłami. — Pokręciły się jeszcze tu i owdzie, zajrzały w każdy kącik, ale nadaremno, zakwiliły więc żałośnie i opadły w końcu bez sił na gzymś okna.

A w oknie tym siedział właśnie mały Władzio i przytulając buzię do szyby patrzył, co się dzieje na dworze.

Ptaszki, czy go nie widziały, czy też, że nie bały się jego uśmiechniętej buzi, zdobyły się na krok bohaterski i dziobkami w szybę zastukały.

— Mamo, mamol — zawołał radośnie Władzio, odskakując od okna. — Patrz, dwa wróbelki przyszły tu do nas i proszą, żeby im okno otworzyć.

— Prawda—rzekła mama, zbliżywszy się do okna—muszą być bardzo zgłodniałe nieboraki, kiedy aż tu przyjsć się ośmieliły i pewnie także zziębnięte. Jeśli je nie pożywimy, zginą od mrozu i głodu. Usuń się jeszcze trochę, synku, to wpuścimy je do pokoju — mówiąc to, otworzyła mama okno. Ciepły prąd powietrza otrzeźwił wróbelki, podniosły główki a nie widząc nikogo w pobliżu, z ciekawością zajrzały do wnętrza. Niedaleko stał stół a na nim leżała pokrajana bułka od podwieczorku. — Znalazły je mądre wróble i rzuciły się na nie z wielką żarłocznością.

Władzio przyglądał się, jak prędko, prędko dziobały okruszynki, tak, że wkrótce ani jednej już na stole nie było.

— Ówrik, ówrik! — radośnie zaszczebotały, jakby dziękując Władziowi i wyfrunęły z pokoju.

Odtąd były codziennymi gośćmi Władzia, który starannie zbierał okruszynki, co zostawały po jedzeniu — czasem i chleba kawałek im drobił. — Ptaszki przylatywały, żywiły się i ogrzewały w ciepłym pokoju. Całe gromady innych wróbelków przyłączyły się do nich i choć zima była naprawdę ciężka i długa tego roku, wszystkie ptaszki, dzięki Władziowi, przebyły ją szczęśliwie i doczekały się ciepłych dni wiosennych.

Anna Skibniewska.

POSELSTWO Z KRAINY CZARÓW.

(Dalszy ciąg).

IV.

Zaczarowane kwiaty.



o widać jakieś dobre dziecko, ta dziewczynka, mówiła Krętogłówka.

— Nie myślę, żeby była bardzo dobra, bo nie jest ładna — odrzekła Przekornatka. — Jej braciszek jest ładniejszy...

— A jednak chciał popalić czarodziejskie baśnie — zauważyła Krętogłówka.

— Dajmy już pokój domysłom i chodźmy zrobić porządek w naszym domku — przerwała niechętnie Przekornatka. — Szyby w oknach takie brudne.

— Królowa jednak miała słuszność, żebyśmy nie szły do miasta — mówiła Krętogłówka — bo tam dym zadusiłby nas. W miastach tak brudno i duszno!

— Ale dzieci w mieście może są przyjaźniejsze niż na wsi? — zastanawiała się Przekornatka.

— I te się z nami zaprzyjaźnią — pocieszała ją Krętogłówka. — Trzeba nam było uporządkować domek, żeby chętniej przyszły. Kwiaty w ogródku wcale ładnie wyglądają.

Dochodziły już do swego domku, Krętogłówka do-dała:

— Nie pojmuję, dla czego na ziemi ludzie mieszka-ją w domach, kiedy mogliby mieszkać w lasach? Ale my nie będziemy nocowały w domu — prawda?

Niedaleko drogą szły trzy osoby. Pani z Warszawy, mieszkająca w willi w pobliskim lesie, stary emeryt również z Warszawy i dzierzawca folwarku za lasem. Krętogłówka dojrzała nadchodzących i rzekła z niechęcią.

— Ani jednego dziecka; troje dorosłych ludzi.

— Wieszczyki nie potrzebują rozmawiać z dorosłymi, tylko z dziećmi — dodała Przekornatka z gniewem.

Słychać było rozmowę przechodzących, którzy przy-stanęli, mijając domek.

— Prawda, że całe lato było bardzo ciepłe — mówił staruszek z Warszawy.

— Ale jednak, pani dobrodziejko, to coś nadzwyczajnego, żeby konwalie kwitły we wrześniu! — zauwa-żył dzierzawca.

— Ależ to nie konwalie! — zawołała pani z War-szawy.

— Albo te maki! — dodał emeryt.

— Przecież to nie maki! — zaprzeczyła pani.

— Naturalnie, że nie maki, tylko róże — objaśnił dzierzawca — i to bardzo piękne róże. Ale te konwalie, te konwalie we wrześniu!

Krętogłówka i Przekornatka spojrzały na siebie z uśmiechem.

— Mnie się zdaje, że to pierwiosnki — upierała się pani z Warszawy.

— Co się też pani dobrodziejko zdaje! — zawołał dzierzawca.

Pani zaczęła się śmiać.

— Jakto! Więc to nie pierwiosnki? — zapytała.

— Nie! Konwalie! — powtórzył dzierzawca. — Gdy-bym zerwał jedną, przekonałaby się pani.

— Ale jej nie zerwiesz! — szepnęła Przekornatka.

— Proszę pani! Czy mogę zerwać jeden kwiatek z ogródka? — zapytał dzierzawca, zbliżając się.

Z domku doszedł go śmiech dziwny, rozgłośny. Dzierzawca stanął i przetarł oczy.

— Dziwne! bardzo dziwne! — szepnął.

— I cóż? Czy nie pierwiosnki? — zawołała pani z drugiej strony furtki.

Dzierzawca pochylił się po raz drugi, i znowu roz-legł się śmiech z domku, a potem zakukała kukułka.

— Kuku! kuku!

Czy to zegar? Nie! To wyraźnie kukułka.

Dzierzawca przetarł oczy, popatrzył na domek i za-wrócił do furtki.

— S.yszales pan kukułkę? — zapytał staruszek emeryt. — Muszę zaraz o tem napisać do Kuryera! Kukułka we wrześniu!

— A cóż kwiaty? Zerwałeś pan choć jeden? — na-legała pani z Warszawy.

— Przepraszam panią dobrodziejkę, ale śpieszę się bardzo na obiad; już po pierwszej — odpowiedział dzier-zawca i odszedł.

A odchodząc przecierał ciągle oczy i mówił do siebie:

— Same kamienie! Jakże mi wzrok słabnie!

— Chodźmy i my na obiadek, pani dobrodziejko! — rzekł emeryt, i odeszli oboje z panią z Warszawy.

Krętogłówka i Przekornatka śmiały się serdecznie ze swego figla.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

ulożył Józef D.

Na literze litera.
Mnóstwo rzeczy zawiera;
Kto ich z młodu nie zdobędzie,
Już mu z wiekiem trudno będzie.

KWADRATY MAGICZNE.

ul. Machego.

a a e	Miasto w Marokko.	a a k	Rzeka w Armenii
e f k	Okres czasu	r r f	Miasto gub. w Rosyi.
r z ż	Dawna nazwa ucznia.	u u z	Liczebnik.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 7-go.

Zagadki Ła - w - ka.

Arytmogryfu kryształowego:

		D		
	R	e	n	
K	r	o	t	o
D	e	o	t	y
S	t	y	k	a
	Ć	m	a	
		a		

Skrzynka do listów.

Pani **W. S (Niezapominajce)** Najserdeczniej dziękujemy za życzliwe słowa pamięci, a Marychnie i Stasiowi za ofiarę i własnoręczne podpisy.

Na przytułek św. Zofii. w Warszawie nadesłały: Zosia i Oleś B. z K. 1 rub, Marychna i Staś Skarzyński — 30 k; Dzie-sięć Zoś, trzy Marynie, Jeanne i Nie-Zosia za pośrednictwem pa-ni K.—4 r. 95. k.

Dobre rozwiązanie łamigłówki „Czarni i Biali” (z liczbą 7) nadesłali jeszcze Orzeł z P., Karlik z za morza, Wacio Mongird, Stasia Z., Marya Stawowska. Ze względu, że rozwiązania te przyszły w terminie, rozlosowaliśmy je do nagrody i tym sposobem czwarta prócz trzech przyznanych w N. 8 przypadła Wacio-wi Mongirdowi. Rozwiązanie z liczbą większą od 7 nadesłali: Bodziak Pod. Wojtuś i Marya Ambroziewiczowie, Ciekawski z nad Dniestru, Stasia Bobowska.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Pufcia, Czesio O., Wacio M., Polska Sosna, Zosia z pod Skalbmierza, Grażyna, Janek Abramowicz, Miziutka Czyńska, Elutka Mierzwińska, Hamilkar z nad Newy.

Widocznie Czarny Kruczek pilnie odczytuje skrzynkę bo zrozumiał, że chcąc się zapoznać chociażby listownie, trzeba coś wiedzieć o sobie nawzajem. Dowiedziałam się z twego pierwszego listu, że jesteś pilnym uczniem, któremu bezwzględnie egzamina się powiodą. Kuzynka twoja Jadzia N. już od zeszłego roku pisuje do mnie. Brakujący dodatek przysłałabym ci chętnie, ale podobnych tobie „czarnych Kruczków” wiele fruwa po świecie, jakże redakcja zgadnie, którym ty jesteś skoro nie podałeś ani nazwi-ska, ani adresu.

Konwalii i Niezapominajce Z równą ciekawością i ja czytam powieść Z. Bukowieckiej, która zawsze tak zajmująco pi-sze dla młodzieży. Po wielkich miastach znajduje się zwykle dużo włóczęgów i urwisów różnego rodzaju, którzy między sobą

używają umówionych i przez nich tylko zrozmianych wyrażen. Wyrazy z powieści „Stefek Luty,” o które zapytujesz, są właśnie wzięte z tego rodzaju gwary: szczer ma oznaczać upatrzoną oha-rę, palce zaś klucze. Przy łamigłówce Niezapominajki braknie rozwiązania, a takich redakcja nie przyjmuje, powtórz ją w nastę-pnym liście z rozwiązaniem.

Obrany pseudonym licuje najczęściej z usposobieniem kore-spondentki, wielokrotnie robiłam tę uwagę i prawie zawsze oka-zywała się słuszną. Musisz być wesołą i figlarną jak kotek Pufciu, bo osoba o usposobieniu smutnem i marzącem nie podpisałaby się tak wesołem imieniem. Czy się nie mylę? Że karnawał mi-nął nie żałuję, lubię się bawić, ale w miarę, zbyt częste zabawy męczą i odrywają od zajęć poważniejszych. Nowogródek znam dobrze i w tym roku byłam tam kilkakrotnie, czy i ty znasz tamtejszą piękną okolicę?

Za moim pośrednictwem przesyłają ukłony Pufcia—Dzi-kiej Litwinie, a Błada Iskierka—Łochozwiance i Czarnuszcze. Bładej Iskierce. Dopiero z twego listu dowiedziałam się że jesteś na pensji w Warszawie, Łoch. nic mi o tem nie dono-siła. Obmawiasz swoje „bazgroty” nie znudziły mnie one, prze-ciwnie zajęły bardzo, wieczorek na pensji opisałaś żywo i bar-wnie, do rysunków masz prawdziwe zamiłowanie, a zatem i zdol-ności, bardzo będę rada, gdy mi przysłesz kartę z własnoręcznym rysunkiem. Na czternaście znaków zapytania odpowiadam mil-czeniem, z wymienioną przez ciebie panią wiązą mnie bliskie stosunki przyjaźni.

Strasznie brzmi wasz pseudonym Wielcy prześladowcy la-lek, widocznie że do tych istot czujecie nieprzechwyconą odra-żę! Jak dobrze, że macie jedną tylko siostrzyczkę, której jako młodziej od siebie pewno nie dokuczacie prześladowaniem jej la-lek. Witoldek jak na ośmiolotniego chłopca pisze bardzo do-brze, powinien koniecznie stanąć do konkursu kaligraficznego.

Trzy Raczki z Siedlisk to jedne z najdawniejszych kore-spondentek, i najlepszych przyjaciółek moich, nie dziw, że każdy wasz list witam radośnie, bo ze szczerem a przyjemnem zainte-resowaniem śledzę, jak z małych raczków dziewczynek, przemie-niacie się w raczki panienki. Nauki postępują, rozrywki i zajęcia się zmieniają, tylko trzy poczciwe serduszka pozostają zawsze te same przyjacielskie i serdeczne! Żądany numer wysłano. Zapu-sty minęły dość wesoło, tańczyłam kilka razy, tańczyć lubię, ale mniej od was, bo bez żalu posypałam głowę popiołem. Znam grę Ping-Pong, opisywałam ja kiedyś w „Wieczorach,” przyzna-ję że jest zabawną, ale wolę prawdziwego tennisa na dworze, niż na stole.

Miłe słowa listu, tak gorliwej i pilnej czytelniczki, jaką jest Polska Sosna, stanowią najlepszą nagrodę współpracowników redakcji, którzy tak serdecznie radziby zając, oświecić i rozer-wać swoich czytelników i czytelniczki. Kolonie letnie przyjmują chętnie sukienki i ubrania w wszelkich kolorach, nowe i uży-wane, żadne mundurki nie są obowiązujące dla wysyłanych na wieś dzieci. Halince uściśnienia, może i sama ześle do mnie napisać?

Piętę chociażby achillesową zwyciężyć trzeba dzielny B0-dzento! Zaledwie pierwszy raz odezwałeś się do mnie, a już za-powiadasz, że nie prędko znów, swe lenistwo pokonasz. Mam jednak nadzieję, że tak źle nie będzie i że wkrótce dowiem się czegoś więcej o tobie, czy uczysz się jeszcze w domu, czy jesteś najmłodszym z rodzeństwa, czy starsze siostry, które były dawnymi czytelniczkami „Wieczorów,” pisywały do mnie i pod ja-kimi pseudonymami? Wszak nie zostaniesz dłużnym odpowie-dzi na te pytania?

Zosi z pod Skalbmierza. Rozwiązanie i zadanie własne-go układu przysyłaj wprost do redakcji. Dobre zadania kolejno pomieszczone będą.

Listu twego nie podarłam, nie spaliłam, ale uważnie prze-czytałam od początku do końca, a na wstępie mogę cię zapewnić, że rada jestem z pozyskania Danusi na stałą korespondentkę, bo dotąd raz tylko czy dwa odezwałaś się do mnie w zeszłym roku. W Sosnowcu, od kilku lat nie byłam, więc i mój sąd po-przedni teraz może uległby pewnym zmianom.

Wasza Jaskółka.